

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

39

— Nie bardzo już — białe ubrana — włosy czarne — oczy czarne.

— Nic więcej?

— Owszem... — zawahał się Alimena.

— Co takiego?

Robert Alimena spojrzał zimno na detektywa i tym spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że ostatnie pytanie było niedyskretne.

Dick Leslie zaś, zmarszczył brwi i odezwał się spokojnie.

— Ekscelecencya powinna mi wszystko powiedzieć. Jeżeli się niema zaufania do mnie, to poco było mnie wzywać.

— Mam zaufanie do pana — odparł Alimena, który już pożałował swojego odruchu — ale nie jestem całkiem pewnym tego szczegółu.

— Jednakże ja znać go muszę.

— A więc... ta kobieta ma jedną rękę uciętą.

— Ah! — szepnął detektyw z nagłym błyskiem w oczach.

— Tak przynajmniej sądzę... domyślam się...

— To dobrze. Czy ten człowiek należy do wyższego świata. Czy to Włoch?

— Niewiem.

— Anglik?

— Niewiem.

— Katolik?

— Zdaje mi się, że żyd.

— Czy to sprawa miłosna, czy też pieniężna?

— Nie umię na to panu odpowiedzieć. Ten człowiek jest moim śmiertelnym wrogiem. On albo ja zginąć musimy.

— Dla kobiety?

— Dla tej uciętej ręki.

— Zbrodnia?

— Być może.

— Ekscelecencya posiada tę rękę — nieprawdaż?

— Tak.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Nie — odrzekł żywo Alimena.

— A więc nie działamy nic — odparł zimno Dick Leslie.

— Nie działamy nic — powtórzył spokojnie Robert Alimena.

— Ekscelecencya zatem więcej kocha kobietę, do której należy ta ręka, niż nienawidzi garbusa o zielonych oczach — wyrzekł po chwili dobitnie detektyw — jednakże ja tę rękę zobaczyć muszę. Może być, że jestem w posiadaniu śladu...

— Śladu? — zapytał Robert Alimena i oczy mu zabłysły złowrogo.

— Tak... tak... ale jeszcze nie chcę nic powiedzieć.

— Dobrze — odparł Robert wstrząsając się nerwowo — Pokażę panu tę rękę.

— Ekscelecencya pragnie koniecznie znaleźć garbusa?

— Koniecznie.

— Nawet gdyby był na końcu świata?

— Tak.

— Czy Ekscelecencya gotów jest ponieść kosztą podróży, wydatków, wynagrodzenia?

— Tak, biorę na siebie wszystko.

— Do jakiej sumy?

— Aż do dwudziestu pięciu tysięcy franków, jeżeli zajdzie potrzeba podróży.

— A jeżeli nie?

— Wynagrodzenie z pięciu tysięcy.

— Nie dziesięć?

— Niech będzie.

— Przynoszę więc jego nazwisko i nazwisko kobiety za dziesięć tysięcy franków — oświadczył stanowczo Dick.

— Dobrze. Dam panu dwa tysiące na poczętek.

Robert Alimena wyszedł na kilka minut z pokoju, w którym oczekiwał na niego detektyw.

Znalazłszy się w swojej sypialni zawahał się jeszcze biorąc do ręki skrzynkę zawierającą uciętą rękę. Czy miał ją pokazać Dickowi Leslie? Był to przecież człowiek zupełnie mu obcy — człowiek, który mógł go zdradzić i przejść na stronę nieprzyjaciela. Ale wahanie trwało krótką chwilę. Jeżeli się chce dotrzeć do pewnego celu,

wszystkie środki są dobre. Jeżeli chciał odnaleźć garbusa, musiał być przygotowanym na pewne ofiary.

Wziął więc w ręce cenną swoją skrzynkę i powrócił do pokoju.

— Oto jest — wyrzekł poważnie uchylając wieka. Dick Leslie pochylił się nad piękną uciętą ręką i oglądał ją czas jakiś z wielką uwagą. Ośmielił się nawet unieść ją z jej aksamitnego podłoża i próbował ściągnąć z palca jeden z pierścionków.

— Co pan robi? — zawołał Robert zadręgawszy całkiem ciałem.

— Nic — obserwuję — odparł spokojnie Dick nie podnosząc oczu.

Obserwował rzeczywiście jeszcze czas jakiś, ze spojrzeniem bacznie utkwionem w lekko zaróżowioną skórę i palce obciążone pierścieniami. Poczem podniósł głowę i zapytał.

— Jakim sposobem Ekscelecencya doszła do posiadania tej ręki?

— Przypadkiem.

— Dawno?

— Sześć miesięcy temu.

— Kto ją dał?

— On ją przez zapomnienie porzucił.

— Gdzie?

— W wagonie — Podróżowaliśmy razem.

— Sami?

— Zupełnie sami.

— Czy Ekscelecencya jest pewna, że on ją zapomniat zabrać z sobą?

— Całkiem pewnym jestem. Próbował mi ją odebrać.

— Siłą?

— Tak.

— Chciał zamordować Ekscelecencyę?

— Kilkakrotnie. Udało mu się to w połowie.

— Co Ekscelecencya przypuszcza?

— Podłość jakąś, zbrodnię.

— To dobrze — wyrzekł Dick ostatniem spojrzeniem obrzucając rękę — Do widzenia Ekscelecencyo.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytał niespokojnie Alimena.

— Jak tylko dowiem się o czemś. Ekscelecencya nie wyjedzie z Londynu?

— Nie. W razie gdybym wyjechał pozostawię swój adres.

— Byłoby lepiej, gdyby Ekscelecencya nie wyjeżdżał wcale.

— Dlaczego?

— Bo nasz człowiek znajduje się prawdopodobnie w Londynie.

— Tak pan sądzi? A więc przeznaczenie samo sprowadziło mnie tutaj.

— Przedziej opatrność — odparł poważnie Dick Leslie. Do widzenia Ekscelecencyo.

— Wkrótce — nieprawdaż?

— Mam nadzieję.

Trzy dni jednak upłynęło a Robert nie ujrzał jeszcze detektywa. Niecierpliwość jego i niepokój dochodziły już do szczytu, kiedy wieczorem dnia trzeciego, kiedy powracał z teatru powiedziano mu, że ktoś oczekuje na niego w jego pokoju. Był to Dick Leslie. Siedział przy kominku, bardzo zamyślony, co było u niego rzadkością. Wygląd jego zaniepokoili Roberta. Pomyślał sobie, że detektyw doznał porażki. Ale w takim razie po co by przychodził do niego?

— A więc? — wyrzekł siadając naprzeciw Dicką wpatrując się w niego badawczo.

— Idzie... — odparł detektyw krótko przyciszonym głosem.

— Co pan chce powiedzieć?

— Znalazłem go.

— Doprawdy? — zawołał Robert drżąc z radości, ale nie dowierzając jeszcze w zupełności.

— Mam powody, aby tak mówić.

— Gdzie on jest?

— W Londynie.

— Daleko stąd?

— Nie bardzo. Dwadzieścia minut drogi pociągiem — lakonicznie odpowiedział Dick.

— Jak się nazywa?

— Markus Henner.

— Z jakiego kraju pochodzi?

— Z Niemiec, z urodzenia żyd.

— Czy to on naprawdę?

— On. Mały, garbaty z przodu i z tyłu, oczy zielone, chudy, chorowity, rzadki zarost nieokreślonego koloru. Głowa nieco łysa, po bokach kilka kosmyków twardych włosów.

— Tak, to on — wyrzekł z westchnieniem ulgi Robert Alimena — Co robi?

— Jest lekarzem. Lecz nie zwyczajnym le-

karzem, który naprawia nogi i ręce złamane i ogląda język choremu. Jest to specjalista od chorób nerwowych, a przede wszystkim hypnotyzer. On nie uzdrawia, on udaje, że uzdrawia, to znaczy przekonywa swoich pacjentów, iż tak jest.

— Doktor Markus Henner — ciągnął dalej Dick Leslie — posiada olbrzymią klientelę, szczególnie kobietą i zarabia co sam chce. Co roku zjeżdża do Londynu na dwa lub trzy miesiące i zajmuje to samo mieszkanie. Znika zaś zawsze o oznaczonej porze, nie żegnając nikogo.

— Tajemniczy człowiek — zauważył Robert.

— Bardzo tajemniczy. Jakież osobistości podejrzane krążą koło jego domu, on sam zaś prowadzi życie najdziwniejsze, jakie sobie można wyobrazić. Niektórzy mówią, iż słyszeli często okropne krzyki kobiece, wydzierające się z jego gabinetu. Ma on kilku służących oddanych mu zupełnie, lecz jest jednak jeden, który potrafi go zdradzić.

— Czy przekupił go pan? — zapytał Robert Alimena gorączkowo,

— Nie zajdzie tego potrzeba.

— Tak pan sądzi?

— Jest jeden powód, który go zmusi do zdradzenia swojego pana.

— Jaki?

— On jest bardzo oddany Markusowi Henner — sądzę, że kocha go, lęka się go, ale po zatem uwielbia bałwochwalczo swoją panią.

— Jest tam więc i pani? — zapytał Robert drżącym głosem.

— Tak.

— Widział ją pan?

— W przelocie.

— Gdzie?

— Poprzez fałdy koronkowej firanki.

— Czy jest młoda? Czy piękna? — dopytywał się Alimena niespokojnie.

— Widziałem ją tylko w przelocie, powtarzam panu. Dojrzałem tylko bardzo smutne oczy.

— Smutne i dumne — dodał Robert, mówiąc jak we śnie.

— Ona już nie jest bardzo młoda — mówił dalej Dick Leslie — Wygląda na więźnia, lub też jest waryatka.

— I kóż to jest?

— John utrzymuje, że jest żoną Markusa Hennera, lub też jego siostrą, a najprędzej ani jedną, ani drugą. John uwielbia tę kobietę, ale nie wie kim ona jest.

— Nie zna nawet jej nazwiska? Oh! nazwisko jej — zawołał gwałtownie Robert — Tak chciałbym je poznać.

— Nazywa się Marya — pani Marya.

— A dalej?

— Nic. Tylko to imię, Marya. Ale ona jest katoliczka i to katoliczka bardzo gorliwa.

— A więc nie jest jego żoną! — zawołał Alimena triumfalnie.

— Może jego kochanką — szepnął Dick Leslie w zamyśleniu.

— To niemożliwe! On jest żydem!

— Mam nawet powody do sądenia, że to żyd zajmujący ważne stanowisko między innymi. Często bardzo przybywają do niego w dzień i w nocy całe bandy obdartych, zmęczonych współwyznawców, których on bez zwłoki przyjmuje. Mają wygląd ludzi przybywających z bardzo daleka.

— A więc to ich wódz jakiś, przełożony?

— Przełożony... tak... być może.

— A ona? ona? — pytał jeszcze Robert Alimena niespokojnie.

— Ona? Nic więcej o niej nie wiem. To musi być jego ofiara.

— Oh! tak! tak! Kiedy się pan ma zobaczyć z Johnem?

— Tej nocy.

— Gdzie?

— W restauracji.

— Pójdę tam także.

— Nie, Ekscelecencyo.

— Pójdę, chcę pójść, upierał się stanowczo Robert Alimena.

— W jakim celu?

— Pan powie, że jestem jednym z jego przyjaciół.

— John mi nie uwierzy. Nie powie nic więcej.

— Dicku Leslie! Ja tam być muszę! Pożera mnie niecierpliwość!

— Niecierpliwość — czego?

(Ciąg dalej nastąpi).